



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



PASTUSZEK BOHATER.

Opowiadaliśmy już dawniej czytelnikom naszym o odważnym pastuszkowi francuzkim, który porwał się na psa wściekłego, uratował od jego napaści kilkoro młodszych

dzieci, sam zaś, straszliwie pokąsany przez zwierzę rozjuszone, na pewną prawie śmierć był skazany. Pastuszek nazywał się Jan Babtysta Jupille, a wypadek ten wydarzył się w Październiku r. 1885. Ta data stała się pamiętną w rocznikach nauki, gdyż w owym czasie właśnie znakomity uczony francuzki Pasteur zaczął próbować, słynnej już dzisiaj na świat cały, metody swojej ochronnego szczepienia wściekliczyny ludziom, przez psy pokąsanym. Wspominaliśmy także i o téj metodzie, znanéj też u nas w Warszawie; doktor Bujwid wyuczył się sposobu postępowania w Paryżu, pod okiem samego Pasteur'a i tu je zaprowadził.

Niedawno w Paryżu urządzono zakład szczepienia ochronnego w gmachu wspaniałym, umyślnie na ten cel zbudowanym, fundusze zebrano ze składek, nadsyłanych ze wszystkich krajów oświeconych. Do budynku przytyka piękny ogród, zasadzony kwietnikami, drzewami i krzewami ozdobnymi, wreszcie ustawiono w nim kilka posągów z brązu. Pomiędzy niemi zwraca uwagę grupa chłopczyka, walczącego z psem. Łatwo się domyślić, że to jest ów Jan Jupille; był on bowiem jeden z najpierwszych metodą Pasteur'a uleczonych, a za piękny czyn swój otrzymał nagrodę Monthyon'a, tak nazwaną od nazwiska dobroczynnego człowieka, który zapisał znaczne fundusze w celu, aby wyznaczano pieniądze zapomogi ludziom ubogim, odznaczającym się szczególnymi cnotami. Posązek pastuszka bohatera przedstawiony jest na dzisiejszym naszym rysunku.

DO KUKUŁKI.

„Kukułeczko moja siwa,
 Gdzie ty lecisz, gdzie?
 Kiedy burza dęby zrywa,
 Olch konary gnie!
 Nie lecieć wam drobne ptaszki,
 Z gniazda w chłodny czas;
 O! bo wicher dla igraszki
 Może unieść was.
 Ponad obłok unieść błądy,
 Kędy wieje chłód;
 Gdzie dmą wichry, biją grady,
 Krew ścinając w lód.
 Niech się orzeł łamie z chmurą,
 Może walczyć on,
 Bo ma w skrzydle lotne pióro
 Bo ma krwawy szpon.
 Ty kukułko na kalinie,
 W cichem gniazdku siedz;
 A gdy burza i grom minie,
 W jasne niebo leć.”
 Tak ostrzegał sokół stary,
 Trzepiąc rosę z piór;
 Lecz ptaszyna pełna wiary,
 Porze łono chmur.
 I niebaczna w górę leci.
 Nie trwożąc się fał;
 Ani gromu, ni zamieci,
 Tylko pędzi w dal.
 Słonko było znów w dolinie,
 Wonny powiew tchnie;
 Ale w gniazdku na kalinie,
 Nie masz ptaszka, nie.
 Tylko wietrzyk krążąc kołem
 Igrał z resztą chmur,
 I porzucił przed sokołem,
 Kilka siwych piór.

Seweryna Duchńska.

List z wystawy paryzkiej.

Jakże mi was żal kochani koledzy! męczycie się nad egzaminami, a ja biegam po wystawie, chociaż na ten upał uf! strach pomyśleć, jak czasem bieganie męczy.

Zawsze jednak wolę pocić się na placu Marsowym, niż w klasie nad logarytmami. Może w tej chwili właśnie wchodzi do niej dyrektor niosąc zapieczętowane ćwiczenie.

Wchodzi, wszyscy mają oczy zwrócone na tajemniczą kopertę. Jakie będzie ćwiczenie pytają te oczy?

Brrrr... zimno przeszło mi po skórze, chociaż termometr hotelowy wskazuje 28 stopni ciepła, słyszę ztąd skrzyp waszych piór panowie, będę więc i ja pisał, ale list zacznę porządniej niż pierwszy, bo przywykłem już trochę do gwaru wystawy, a nawet wyreczęm wujaszka w załatwianiu drobnych sprawunków.

Zaczynam więc „ab ovo” (widzicie koledzy filologowie, że chociaż realista łaciną nie gardzę).

„Ab ovo” więc zaczynając, donoszę wam, że stoimy w hotelu d'Alsace, przy ulicy des beaux arts. Alzacya i sztuki piękne! Czyż to nie dobrze brzmi?

Ma ten hotel i wyłączny urok dla nas.

Kiedy nazajutrz po przyjeździe stanąłem w oknie mego pokoju, wujaszek wskazał mi piękny kościół, wznoszący się opodal.

— Co to za kościół? — zapytałem.

— „Saint Germain des Prés” — odpowiedział wuj —

pojździemy się tam pomodlić, bo w tym kościele spoczywa serce Jana Kazimierza, który po złożeniu korony mieszkał, jak wiesz we Francyi.

— Biedne serce pomyślałem, ileż ono przecierpiało za życia, a przestało bić na wiadomość o zajęciu Kamieńca przez Tatarów.

Droga z hotelu na wystawę prowadzi przez tak zwane „quai”, co jest poprostu piękną szeroką ulicą, wiodącą na plac Inwalidów.

Jeśli wspomnienie Jana Kazimierza głęboko mnie wzruszyło, to widok trumny Napoleona I-go wielkie także robi wrażenie.

Stoi właśnie w gmachu Inwalidów, w osobnej okrągłej kaplicy.

Wujaszek mówi, że przed kilkunastu laty widywał tu starych napoleońskich żołnierzy. Może i dziś są jeszcze, bo już to porządną porcją kalek przysporzył Bonaparte światu.

Patrząc na skromny marmurowy sarkofag, powtarzałem sobie prześliczny wiersz Mickiewicza.

— On, bóg wojny, co ciskał gromy w Piramidy a w rydwan swój wprzęgał złote orły, on leży teraz w skromnej trumnie, proch i pył, a tam biegają wszyscy na wystawę!

— O marności świata tego! zawołałem, i dalej w skok za wujem

Melancholiczne myśli, z których wiem jak się śmiać będzie Gołąbka, co w tej chwili z poważną miną przyznaje wam za konkurs nagrody, melancholiczne więc myśli odbiegły mnie na widok wieży Eiffel.

Bo że to cudo, to cudo, nikt temu nie zaprzeczy, a jest i druga budowa na wystawie, na którą z równym zachwytem gapią się wszyscy, a przed wszystkimi wasz kolega do usług.

Wieżę postawił Eiffel, a galeryą machin Dutert.

Eiffel i Dutert, to dwa nazwiska, które powtarzają dziś w Paryżu.

Bo wystawcie sobie budynek mający blisko pół wiorsty długości, a 120 metrów szerokości, bez żadnych słupów, bez żadnej podpory, stoi sobie ot tak, jak Bóg dał. Dlaczego dotąd olbrzymi dach ze szkła i żelaza nie zawalił się na tysiące ciekawych nosów, które się z podziwem zadzierają do góry, utnijcie mi głowę, nie wiem.

Cud to sztuki inżynierskiej, nie mniejszy od wieży Eiffel, wszyscy to przyznają.

Czołem więc przed panami inżynierami, a że wasz Julek ma być kiedyś inżynierem, więc samo przez się rozumieć można iż i mnie należy się częśćka tej chwały.

— Zbudować coś takiego i umrzeć—myślałem wczoraj, patrząc na wieżę Eiffla w nocy, kiedy olbrzymi cień swój rzuca jak... ale dajmy pokój porównaniom, darmo, nie mam jakoś natchnienia. W hotelu zastaję list Gołąbki.

Rozsądna moja siostra pisze pod wrażeniem koronek, dywaników i tysięcznych fatalaszków z wystawy.

— Nie jestem ciekawa wieży Eiffla, bo nie lubię rzeczy nieużytecznych.

— Rzecz nieużyteczna! — krzyknąłem a to mi się podoba, któż ci to powiedział panno siostrze?

Właśnie że użyteczna, bo służyć będzie jako obserwatorium astronomiczne i meteorologiczne, użyteczna bo wpływa na rozwój architektury (to powiedział wuj) użyteczna, bo Francya pokazała nią figę Niemcom, bo rzeczpospolita dowiodła że, że... no ale na co się to zda przekonywać kobiety, słowo honoru wam daję, panowie, Kocham Gołąbkę, ale na takie gadanie...

Dawaj sobie moja sędzino nagrody na konkursie komu ci się podoba, ja gdybym był jury dałbym je Eiffelowi, Dutertowi, a i naszemu Matejce za śliczny jego obraz

Bo zwiedzałem już wystawę artystyczną i widziałem dużo pięknych rzeźb i malowideł, a dużo i takich które oglądaliśmy w Warszawie.

Jest Chrystus Munkaczego i wspaniała Zatoka śmierci Preyera, ale i nasi malarze nie pozostali za drugimi. Mnie

najlepiej podobały się dwa obrazy: Huculi Szymanowskiego i harce kozaków Pawliszaka. Ach jakby się to hasało po stepie — powiedziałyby każdy z was koledzy, patrząc na te konie.

Bo co to za konie, słowo wam daję panowie, jak żywe a już to na czym się nie znam to nie znam, ale konia potrafię ocenić jak piękny.

Bardzo ciekawą także rzeczą, na wystawie jest historia mieszkań ludzkich, zaczynając od jaskiń i domów nawodnych znajdując tu i starożytną budowę fenicką, dom assyryjski i indyjski, japoński i egipski tak jak te narody, budowały sobie chałupiny w najdawniejszych wiekach. Jest więc i dom średniowieczny europejski, bo czegoż niema na wystawie?

Z wsi kochinchińskiej przechodzisz do teatru anamskiego, z pagody Angkir do kawiarni Bambara. Dawniej z tamtąd przywożono najpiękniejszych niewolników, teraz, małe państwko Nigrycyi przedstawia na wystawie swoje napoje, i taki ktoś jak ja pije i nawet się nie dziwi. Potem kładę ręce w kieszenie dla dodania sobie miny, i zwiedzam kolejno pawilon Chilijski, Nikaraguajski, Siamski (ale bez zrosniętych braci) wystawę Marokańską, stację elektryczności, pawilon kompanii Suezkiej (tu płaczę nad nieudanym przekopem Panama). Teraz biegnę do pawilonu republiki San Domingo i Uragwajskiej, a tymczasem wujaszek woła, że znów jest coś ciekawego do widzenia.

Uf! wymieniając te cuda zasapałem się już, cóżby to było gdybym chciał o każdym pisać szczegółowo.

A ile to razy wezmą człowieka na fis, i zleci się darmo. Patrząc zdaleka widać jakiś obelisk. Biegnę, a to wystawca świec stearynowych ułożył tak swój towar. Pędzę bo zdaleka widać jakąś prześliczną chińską pagodę. A niechże was — mówię po cichu, to po prostu szpulki z niemi maszynowemi wybudowały to cudo.

— Reklama, wszystko reklama — mówi wuj — dodaje że my tego nigdy nie potrafimy.

Może wuj ma rację, i ja myślę to sobie patrząc na wspaniałego lwa z czekolady, chociaż nabiegawszy się bywam tak głodny, że chętnie nadgryzłbym mu ogona, nie płacząc nad tem, że nie marmurowy, prawda panowie, jest blaga, jest reklama, ale są i cuda nauki, a te podziwiam i żałuję was, że ich podziwiać nie możecie.

Tylko czas przestać pisać bo ręka boli, a żołądek woła zmiłowania.

Biegniemy więc na obiad, a wy panowie koledzy wyrozumcie głodowi, i nie żądajcie bym was żegnał szumnemi frazesami, lub czule jak pensyonarki.

Wasz *Julek*.

Bajeczki Mickiewicza.

I.

Parę lat temu podawaliśmy czytelnikom naszym wyjątki ze wspomnień dziecinnych pani Maryi Goreckiej, córki wieczna naszego Adama Mickiewicza. Niedawno znów w „Kronice Rodzinnej” ukazało się opowiadanie tejże p. Goreckiej; tym razem przytacza z pamięci bajeczki, słyszane niegdyś z ust ojca w dzieciństwie. Mickiewicz nieraz tak zabawiał dziatwę swą wieczorami, opowiadając różne bajeczki, do pojęcia małych słuchaczy zastosowane; niewiadomo czy je czerpał z rzeczy czytanych i w pamięci przechowanych, czy też z bogatej swęj wyobraźni. Córka ma podobno zamiar zebrać te wszystkie bajeczki i drukiem ogłosić. Posłuchajcie tymczasem tych które nadesłała redakcyi „Kr. Rodz.”

„Zwiedzał raz ojciec mój ruiny dawnego zamku, i zauważył przed szczątkami starych murów, z których nic prawie nie pozostało, symetrycznie ustawione obok siebie pa-

górki: jeden większy, cztery mniejsze, a dwa jeszcze mniejsze, widocznie ręką ludzką usypane. Oto, jak mu wytlómaczono, co miały oznaczać.

Przed laty mieszkał w tym zamku kasztelan, pan mójny i dumny, który się był oddawna już pokłócił z sąsiadem, magnatem, wielkiego też majątku i nieugiętej dumy. Nieporozumienie to, podsycane coraz to nowemi zająściami, wywołało między nimi jawną, zażartą nienawiść. Pewnego wieczora, gdy burza wściekle szalała na dworze, wicher łamał drzewa, a raz wraz były pioruny, kasztelan siedział przy wieczerzy, otoczony swym dworem. Wtem ozwała się trąbka przy moście zwodzonym i zdziwiony sługa wbiegł oznajmić swemu panu, że wojewoda w powrocie z łowów burzą zaskoczony i zgubiwszy w lesie drogę, zajechał do zamku w gościnę. Po chwili zjawił się na progu sali sam dostojny gość, w towarzystwie jednego tylko dworzanina. Kasztelan pospieszył na jego spotkanie z wszelką należąca atencją; witając go i sadzając przy stole. Traktament też zaraz kazał wyprawić, jak przystało.

Wojewoda składał mu dank w układnych wyrazach, ale choć wysilali się wzajemnie na grzeczności tak zniechęca w obec siebie postawieni nieprzyjaciele, nie mogli utać drgającej w głosach, wyglądającej z oczu nienawiści. Wkrótce nieznacznie docinać sobie zaczęli. Każde słowo rozjątrzało dawne urazy, a dworzanie, dzielający uczucia swych panów i patrzący na coraz chmurniejsze ich oblicza, z trudnością też tamowali objawy niechęci i gniewu. Wreszcie wieczerza się skończyła, burza ucichła. Wówczas wojewoda, który nie był pozwolił, pomimo nalegań kasztelana, wypręgać swych koni, powstał od stołu i uniesiony pożerając go, a tak długo tłumioną nienawiścią, zamiast dziękować gospodarzowi za gościnność, rzucił na stół woreczek pełen dukatów, mówiąc:

— Dla służby!

— Cóż to? — krzyknął kasztelan, przyskakując do niego i chwytając za karabelę — czy dom mój bierzesz za karczmę?

— Tłómaczyć się nie myślę — odrzekł hardo wojewoda, wciskając czapkę na głowę i dobył szabli.

Wówczas zaślepiony pasyą kasztelan, rzucił się na wroga — za nim dwór cały. W mgnieniu oka rozsiękano wojewodę i dworzanina, który go bronił, a potem, chcąc zatrzeć ślad tak straszliwej zbrodni, nietylko trupy wnet zarzeczano, ale zakopano też z niemi w ziemi i karete i ztąd ten duży pagórek, cztery konie tam, gdzie te mniejsze się wznoszą, a pod temi maleńkimi dwa ulubione charty wojewody. Tajemnica głęboka pokryła całą tę krwawą sprawę i nikt w okolicy się nie dowiedział, gdzie się podział wojewoda tej burzliwej nocy.

Rok upłynął. Za stołem zasiadł wieczorem kasztelan ze swymi dworzanami, gdy nagle zerwała się burza tak podobna do przeszłorocznej, że wszystkich ogarnęła obawa. Nawałnica wzmagala się i potężniała, w miarę jak się zbliżała pamiętna godzina. Wkrótce i trąbka odezwała się, a blady od przerażenia sługa wbiegł do sali, oznajmiając trzęsącym się z przestachu głosem, że w tej samej karecie z tym samym dworzaninem zajechał znów wojewoda. Osłupiałym świadkom i współnikom morderstwa ukazała się istotnie znowu wysoka, dumna postać i witając drżącego gospodarza, przy nim zasiadła. Zmartwieli ze strachu pozostali wszyscy przy stole — grobowe milczenie zaległo salę. Gdy wreszcie burza ucichła, wojewoda powstał, wzywającym ruchem woreczek złota na stół rzucił i zniknął.

Wówczas wyrzuty sumienia, tłumione dotąd zaciętym uporem, złamały dumę kasztelana. Ledwie świtać zaczęło, już w bliskim kościele leżał krzyżem i przy spowiedzi zbrodnię swą wyznawał, błagając kapłana, aby dom jego uwolnił od straszliwego widma. Ale spowiednik nazaczył mu pokutę, która utrwalić miała pamięć jego występku. Nakazał bowiem, aby co rok zastawiano kolacyą wieczorem w sali, w której popełnionem zostało morderstwo i pan domu noc tam przepędzał na modlitwie za zmarłych, z pokorą przy-



Bocian australski.

mując złoto, które niewidzialna ręka na stół ciskała, i które miał obracać na dobre uczynki. Po jego zaś śmierci obowiązek ten miał przejść na jego następców i póki stał zamek, zachowywano w nim tę smutną spuściznę dawnych czasów.

(d. c. n.)

BOCIAN AUSTRALSKI.

Mało jest ptaków tak okazałych, jak bocian australski (*mysteria australis*) na rycinie naszej przedstawiony. Nietylko postać olbrzymia, gdyż wierzchołek głowy ptaka wznosi

się o metr przeszło ponad ziemią, lecz barwy przepyszne opierzenia wyróżniają go pośród całej rzeszy skrzydlatej. Młode mają strój o wiele skromniejszy, jednostajnie brązowy, z wiekiem dopiero, w trzecim roku życia, jaskrawe barwy występują w całej okazałości u samca zarówno jak u samicy, która nie jest z tego względu upośledzoną, jak to często bywa w rodzie ptasim.

Wyobraźcie sobie całą część głowy i szyi, którą rysunek przedstawia czarną, zabarwioną odcieniami szmaragdowymi, mieniącymi się pysznie w szafir i purpurę, z odbłyśkiem złocistym; podobne zabarwienie jeden paw ze znanych nam ptaków posiada. Smugi podobne zdobią oprócz tego

grzbiet poniżej karku, końce skrzydeł i ogon, co odbija przesłicznie od śnieżnej białości reszty tych skrzydeł i piersi. Do tego dodajmy dziób czarny, nogi czerwone, a naprawdę trudno wyobrazić sobie coś równie pięknego i fantastycznego, jak ten ptak australijski.

Australia nie jest jednak wyłączną ojczyzną tego olbrzyma, ten sam gatunek żyje także w Indiach południowych i na wielkich wyspach Sundzkich. A że jest nadzwyczaj dziki i ukrywa się przed okiem ludzkim, więc dotychczas rzadko był widywany przez podróżników, a najpierwszy okaz żywy dopiero w r. 1887 przybył do ogrodu zoologicznego

ŁOWIEC STRUSI.

Wiadomo że jednym z przedmiotów handlu wywozowego w Ameryce są pióra strusie, w niezbyt pokaźnej jednakże ilości. Bezbrzeżne łąki, mianowicie tak zwane „pampas” w rzeczypospolitej Argentyńskiej, przepełnione bydlęm pierwotnie z Europy sprowadzanem, są też w niektórych swych ustroniach zamieszkałe przez strusia. Tutaj to żyje on i ukrywa się we właściwy sobie a słynny sposób, to jest usiłując przedewszystkiem *nie widzieć* niebezpieczeń-



Łowiec strusi.

go paryzkiego. Obyczaje tego ptaka są takie same prawie jak bociana, z którym zresztą łączy go blizkie pokrewieństwo. Podobnie jak nasz Woś pocziwy, bocian australijski wyciąga z wody różne płazy, mięczaki i inne stworzenia, które pożera. Ale stosownie do swego wzrostu potrzebuje dużo pokarmu. W niewoli zjada na raz cały funt mięsa, pokrajany na paski, a potem nie odmawia na zakąskę parę kawałków ryby, tuzin ślimaków lub coś podobnego.

Uspokobienie ma łagodne, przechadza się poważnie po ogrodzie na wysokich swych szczudłach, z ludźmi zaprzyjaźnia się łatwo.

Jak gdyby przyjąwszy niektóre rysy charakteru tego ptaka żyje tu także i ukrywa się jak on, człowiek tropiący go z rzemiosła: łowiec strusi, gauczos. Najrzęczniejsi z gauczosów, to jest zwykłych jeźdźców pasterzy hodujących bydło, stają się skrycie łowcami strusi. Skrycie, gdyż takiego łowcę ścigają i chwytają gdy mogą, nietylko wszelkie władze miejscowe, nie tylko właściciele bydła pasącego się na pampasach, ale nawet sami współbracia i towarzysze gauczosi, pilnujący to bydło i hodujący je zwykle za cenę połowy zysków, odstąpioną przez właściciela. Przyczyną tej ogólnej nienawiści dla strusich łowców, jest szczególniejsza namiętność łowiecka, jaką rozwija w nich zazwyczaj ich rze-

miosło. Czy to że ten rodzaj polowania zasadzając się na lotną chyżość przedewszystkiem, upaja łowca i unosi bezgranicznem uczuciem swobody, czy z innych przyczyn, dość, że niema granic, przeszkód ani niebezpieczeństw, któreby zdolne były powstrzymać gauczosa w pogoni ze swoim łąso za gromadą uciekających strusi, lub w tropieniu ich, gdy wiadoma gromada zapadnie kędyś tak, że odnaleźć jęj trudno; oszalały myśliwiec nie waha się w tym razie podpalić bujne trawy na wpół uschłe na słońcu, a wtedy... Prawda że wystraszone niemądre ptaki ukazują się wtedy natychmiast i uciekają na widok ognia, choćby nawet najbezpieczniej były usadowione i wcale nie zagrożone tym ogniem, ale ogień pędzi dalej, rozszerza się, ogarnia częstokroć ogromne przestrzenie łąk i powoduje niezmiernie szkody w nieprzeliczonych stadach bydła, gęsto je napełniających. Pożar taki zdradza więc nietylko strusie ale i samych myśliwców strusich działania i istnienie ich w danęj okolicy, naprowadza na ich ślad ludzi, którzy ponosząc szkody z ich rzemiosła, starają się mu przeszkodzić. Rycina nasza przedstawia gauczosa, w chwili gdy pędząc za strusiami, już tylko co zarzucić ma na nie swe niechybne łąso, giętki długi ramię, na którego końcach przymocowane są kule żelazne, co wszystko razem zręcznie rzucone owinie się około strusia spęta go i wyda bezsilnym na łup myśliwca, pomimo całej ogromnej siły dużego tego ptaka.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

— Trzeba jeszcze pójść wyżej, rzekła.

Wyżej, las już był bardzo ciemny i gęsty. Ale przez dwadzieścia kilka lat spędzonych w życiu koczowniczem, branki nauczyły się wszelkiego rodzaju podróowania i obcowania z przyrodą. Elżbieta, często używana do noszenia wody, i to w krajach gdzie źródła są rzadkie, znała się z przeróżnemi jęj szmerami, poznawała na gruncie najbliższe jęj wskazówki.

Minęła już dobra godzina od chwili rozłączenia się z Ludmiłą, kiedy ją doszedł szmer rówhy, pluszczący. Ach, jakże jęj się wydał dźwięcznym i wesołym, to źródło!

Podbiegła kilka kroków, już widzi... Drzewa się w tem miejscu rozstępowały. Przed nią, czerniał bok stromęj góry, a z tęg ściany wytryskał, kręcąc się, sznur wody srebrzystej, tem srebrzystszej, że księżyc, który tymczasem wszedł na niebo, prześwietlał go błękitnem drganiem. Elżbieta wbiegła na kamień, podstawiała wiadro pod krynicę. W tęg chwili zadrżała... pomiędzy drzewami, załomotał niezwykle szelest...

Zadrżała, czy dziki zwierz jęj nie napadnie? A w tęg trwodze, głównie ją dotknęła myśl okropna:

— Ludmiła zostanie bez wody... ach, nietylko bez wody, ale i bez nikogo na świecie.

Jednak, szelest ustał, cisza zaległa w koło. Tylko las szumiał, i szmer wody pluskał.

Tymczasem wiadro już się przepełniło. Wzięła je, i zesła z kamienia.

Zaledwie ubiegła kilka kroków, coś cienikiego, świszczącego, śmignęło nad ziemią, i chwyciło ją za kolana,

Chciała się wyrwać, raz jeszcze stąpić, niemogła. Twarz padła na ziemię, wypuszczając z ręki wiadro.

W usiłowaniach jakie czyniła ażeby się podnieść, uczuła na swoich nogach pęta, i z pojętnością nieszczęścia, zrozumiała że na nią zarzucano arkan.

— Zginęłam! Boże czuwaj nad Ludką!...

W tęg chwili ktoś do nięj przyskoczył, spowinał ją wojłokiem, chwycił w żelazne ręce, i uniósł biegnąc pędem.

Po kilkuset krokach stanął, skoczył na siodło, spowi-

niętą przewiesił przed sobą na koniu i puścił się trzaskając w powietrzu harapem.

Z początku niemogła wiedzieć, ani kto, ani gdzie ją wiezie, bo i głowę miała szczelnie okręconą, czuła tylko jak ostre gałęzie biły o jęj powiatak.

Po niejakiem czasie, jeździec może z obawy aby się nie udusiła, cokolwiek jęj twarz odstonił, spojrziała, poznała, był to jeden z Kałganowych żołnierzy. Opowiedział jęj jak czatował na nią u źródła pewnym będąc że tam przyjdzie, Kałga bowiem niepocieszony po jęj stracie sądząc, że uciekła aby się wyswobodzić z niewoli, gdyż niechciał wierzyć jęj poświęceniu, nie zważał na karność wojskową, na nic w świecie, odłączył się od stryja, wrócił o kawał drogi, no, i oto siedem dni już tu pod górami stoi, a w góry ciągle nowych ludzi wysyła. Zagroził nam wszystkim że zginiemy, jeżeli się nie znajdziemy, a temu co cię znajdzie obiecał sto bałyszów złotych i konia.

I pośpiewywał:

— Będę miał konika, będę miał bałysze. Haj! Za jedną babę koń i sto bałyszów!

Elżbieta już nic nie mówiła. Czasem tylko poprawiała się w swojej męceńskiej przewieszonej postawie, bo pęd konia rzucał nią gwałtownie.

Berkaj przywiązał ją do siodła, mówiąc:

— A! Trzeba cię spętać, abyś mi się znowu nie wysliznęła, za drogo mię kosztujesz.

Jak długo lecieli nie mogła pomiarkować; chwile były wiekami.

Księżyc spuścił się za góry, niebo i ziemia poczerniały.

W połowie nocy stanęli wśród kilku jurty rozbitych między niższemi pagórkami.

Z największego namiotu biło światło. Kałga niemogąc spać z niepokoju, siedział jeszcze wśród niewolnic i niewolników trzymających pochodnie, i pił z ogromnej czarzy o dwóch szyjkach. A że mu było smutno ucztować, przyzwał sobie towarzysza; naprzeciw niego, przy drugiej czarce, siedział Szaman.

Żołnierz zeskoczywszy z konia rozpętał Elżbiecie nogi, a za to ręce jęj związał w tył i do namiotu ją prowadził, a raczej wpychał trzymając za ramiona, bo prawie iść nie mogła. W głowie jęj się jeszcze kręciło, i nogi srodze ją bolały, zapewne od ciasnego węzła.

Na widok wracającęj Elżbiety, wśród niewolnic i niewolników przebiegł szmer przerażenia i przytłumionęj litości, bo wszyscy kochali świątobliwą brankę, i w duszy już cieszyli się z jęj ucieczki.

Za to Kałga wydał krzyk, a raczej ryk najgwałtowniejszęj radości. Kiedy żołnierz zdał mu sprawę ze swoich poszukiwań, i ze szczęśliwego pomysłu co go doprowadził do celu, raczył go własną ręką poklepać po ramieniu i powieźdzał:

— Tęgi z ciebie sługa, powracasz mi życie.

I kazał mu w tęg chwili wyliczyć pieniądze, oraz podarować jednego z własnych wierzchowców.

Tymczasem Elżbieta postawiona pod ścianą drżała, nietyle z obawy, ile z dziwnego jakiegoś wzruszenia, co ją pierwszy raz w życiu ogarniało. Było to mrowie chodzące po jęj członkach, był to ból w nogach, niezbyt mocny, ale osobliwszy. Niemogąc ustać opadła na kolana, i tak wpół klęcząc, wpół siedząc, chciała złożyć ręce; niemogła, były związane. Więc oczy chyłko podniosła do nieba i modliła się cichuteńko, polecając duszę swoję Bogu, bo już była przekonana, że ostatnia jęj godzina przyszła. Kałga ciągle jęj się przyglądał z okrutnym uśmiechem. Kałga lubił długo straszyc swoje ofiary, zanim się wziął do ich męczenia; lubił pić ich strach oczyma, wyciągać z nich błagania złudną cierpliwością. Widząc jednak że Elżbieta ani go przeprosza, ani błaga, ani u nóg jego się nie tarza, zawrzał podwojnem oburzeniem, chwycił kańczug wiecznie przy nim leżący i wstał wydając krzyk drapieżny.

Żle były się pewnie ten poryw zakończył, tembardziej, że tu już nawet nie było Ajdara do hamowania wściekłego

młodzika, lecz inna, niewidzialna ręka go wstrzymała, młodzik przerachował się z siłami.

Kałga był już mocno podpiły. Wstawszy zatoczył się gwałtownie; na szczęście, potrafił ręką pochwycić brzeg sofy, utrzymał więc jeszcze równowagę, ale czuł że nie dojdzie do Elżbiety, że kańczugiem już nie zdoła władać. Niechcąc wyglądać śmiesznie w obec służby, coprędzej siadł napowrót, pokazał białe zęby i zawołał:

— Ba! Ona przecież niewarta abym nad nią mordował moją pańską rękę. Ale potrafimy ją ukarać. Coby tu z nią zrobić takiego, aby stała się dla wszystkich straszny, pamiętnym przykładem? Poradz no dziadulu, zapytał Szamana.

Szaman już także był tylko wpół przytomny. Ale na niego trunek działał inaczej; Kałgę czynił gniewliwym i okrutniejszym niż zazwyczaj, Szamana usposabiał słodko i miłośnie. Spojrzawszy na tę istotę wątlą, zwiędłą, już tylko na wpół żywą, ruszył ramionami.

— E! któżby — rzekł — pastwił się nad tym cieniem?

Kałgę ubodła uwaga.

— Chciałbyś może abym jeszcze jęj dziękował za to wszystko co mi narobiła?

— A cóż ona ci takiego zrobiła? Że uciekła, no, to to jest narów niewolników. Pies szczeka, niewolnik ucieka, rzecz wiadoma.

— A! czy to tylko jedno? Niewiem czy wiesz, to była moja niańka. Oj, nadćkuczałaz mi się porządnie! Przez całe te siedm dni, łamałem sobie głowę jak ją karać i wymyśliłem rzeczy nowe.

Tu zaczął rozpowiadać Szamanowi najdziksze tortury przez jakie chciał przeprowadzić niewolnicę.

— A kiedy już — dodał — zamęcę jęj ciało, wtedy zacznę męczyć serce. Pojadę do Polski. Cóż to? czy ja mam się wiecznie wieszać przy stryju. Poproszę Wielkiego Chana, aby mi pozwolił jechać nad Wołgę do synów Batego. Słyszałem że niedawno robili drugą wyprawę na Polskę, namówię ich do trzeciój. O! Ja tam koniecznie być muszę, bo niewiem czy ci wiadomo, że mam do pomszczenia śmierć mojego dziada? On zginął w Krakowie. Jeżeli się ten Kraków odbudował, to go wezmę, ludzi w pień wyrnę i raz jeszcze go spalę, a niewolnicę zabiorę z sobą, aby na to wszystko patrzyła, bo ona za tym swoim Krakowem wiecznie popłakiwała, i podobno tam zostawiła dziecko. Kałga umyślnie tak odkładał tortury; chciał temi przygotowaniami przedłużyć mękę skazanój.

Ale nie dopiął celu.

Elżbieta nie słyszała ani słowa z tój całej rozmowy. Jak podniosła w niebo oczy, tak i została nieruchoma. Rysy jęj zwolna wypiękniały, jakby prześwietlone wewnętrznem rozjaśnieniem, źrenice otworzyły się promieniście.

Niewolnicy chrześcijanie jacy znajdowali się w namiocie, zaczęli szeptać między sobą:

— Ona jest w „zachwyceniu!”

Szaman także spostrzegł tę cudowną przemianę. Chciał ją pokazać Kałdze, ale Kałga domawiając już niewyraźnie ostatnich słów o Krakowie, kiwnął się kilka razy, i usnął zmorzony trunkiem.

Szaman szepnął do sług:

— Nie budźcie pana. Może jak się prześpi, to i myśl odmieni?

I wpatrywał się pilnie w Elżbietę, chcąc odgadnąć z jęj rysów, jęj postawy, jak to się wchodzi w stan podobny? Przez godzinę nikt się nie śmiał ruszyć.

Już jednak pochodnie dogasały, i wczesny letni poranek wpuścił przez otwór jurty krąg złotego światła.

Kałga, rozbudzony chłodniejszym powiewem wietrzyka, zerwał się i krzyknął:

— No cóż? Gdzież są moje czerwone chłopaczki? Wszak ja już tak dawno kazałem ich wołać?

Nikt nie śmiał mu powiedzieć, że to nieprawda, że doład ani słówka o nich nie wspomniał.

Jeden ze sług wybiegł, mówiąc:

— Już idą... już idą...

I poszedł aby na gwałt budzić tych, których pan zwał pieśczośliwie swymi „chłopaczkami”, czyli oprawców, co istotnie często byli od krwi cali „czerwoni”.

Za chwilę, weszli chwiejnym krokiem, znużeni i rozspani. Ale na widok pana przytomność im wróciła. Wyprostowali się czekając rozkazu.

Trzech ich było. Jeden starszy, z twarzą posępną, bo dawno już przy wojsku pełnił swój oplakany urząd, i dwóch młodzieńnych, z oczami jeszcze pełnemi dzikięj wesołości. Kiedy Kałga im wytlómaczył o kogo i o co chodzi, kiedy kilkakrotnie powtórzył:

— Zabić jęj wam nie wolno, pod karą gardła niewolno, ale nadręczcie jak umiecie, zwłaszcza nogi... choćbyście połamali, to jeszcze lepiej, nie będzie mogła już drugi raz uciekać.

Wtedy młodym kacikom oczy zapłonęły, bo młodość jest z przyrodzenia okrutna, ale starszy posmutniał; Elżbieta była tak powszechnie lubiona, że nawet jemu coś w sercu zapukało.

Widząc ją klęczącą, z oczami wzniesionemi, tak nieopieję wypiękniała, przystąpił do nięj nieledwie z nieśmiałością, i kładąc rękę na jęj ramieniu, wyrzekł:

— No cóż, czy nie słyszysz? Wstawaj!

Elżbieta się wzdrygnęła. Twarz jęj nagle zaszała pomroka, rysy zwiędły, i znów jak przedtem, nabiegły lekkimi zmarszczkami.

Wstawszy z wielką trudnością, rzuciła na obecnych spojrzenie anielskie, pod którem katownik spuścił oczy. Może i Kałga byłby się tem spojrzeniem wzruszył, ale go nie widział; stał odwrócony, i nalewał sobie nową czarę. Szaman zabierał się do wyjścia, bo nie lubił podobnych widoków, zwłaszcza kiedy mu się spać chciało.

— Pójdź za mną — rzekł oprawca do Elżbiety.

Ale Kałga obrócił się co żywo, krzycząc:

— Kto ci kazał ją wyprowadzać? Tu zostańcie, ja chcę na to patrzeć.

Starszy zawołał na uczniów:

— Idźcie, przynieście tu węgle, żelaztwa i bicze.

Sam zaś przystąpił do skazanój.

Chcąc z nięj zwłóczyć suknie, musiał pierwěj rozwiązać jęj ręce; czynił to powoli, rozplątując je łagodnie.

Kiedy go nakoniec z rąk jęj ściągnął, krzyknął przeraźliwie, i odskoczył jakby oparzony.

— Panie! — wołał. — Ona istotnie musiała być u żony Behadyra, bo i ona... i ona...

Tu nieśmiał dokończyć, ale wskazywał na jęj ręce.

Kałga poczerwieniał.

— Co ty gadasz? — krzyknął. — Co ci się troi w oczach? I sam z wahaniem przystąpił do Elżbiety.

Ale ona wyciągnawszy ręce, choć bezbroonna, lepiej się niemi obroniła niż tarczą i mieczem.

Kałga spostrzegłszy na tych rękach plamy, rzucił się w bok z sykiem zranionego zwierza.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Czarny biskup.

W Nigrycyi u podnóża góry Patteh, znajduje się mała osada stanowiąca rezydencyą tamtejszego biskupa.

Jest nim murzyn Samuel Adjaï Crowter, dobroczyńca miejscowěj ludności i prawdziwy cywilizator Afryki. Historiją biskupa Crowtera opowiada nam podróżnik, który miał szczęście usłyszeć ją z własnych ust szanownego murzyńskiego kapłana.

Dzieciństwa swego Samuel nie pamięta prawie, ojciec jego był wodzem dzikiego pokolenia, które osiedliło się nad brzegami rzeki Benue.

Pednego dnia, a miał wtedy około dziewięciu lat, plemię do którego należał zostało napadnięte zniemacka i pomimo rozpaczliwej obrony, wymordowane, lub wzięte do niewoli.

Zwycięzcami byli murzyni muzułmańscy, osiedleni na prawym brzegu rzeki Benue. Trudniąc się handlem niewolników stali się oni postrachem okolicy.

Ojca Samuela zabito w oczach syna, matka ciężko rana padła przy drzwiach chaty, której ostatkiem sił broniła, a dziecko uprowadzone zostało wraz z kilkudziesięciu towarzyszymi i po roku włóczęgi z targu na targ, sprzedane handlarzowi niewolników.

Wiecie zapewne kochani czytelnicy, jak okrutnym bywa los biednych schwytych murzynów, przewożonych na sprzedaż do odległych krańców Ameryki.

Ohydny ten handel prowadzony jest bardzo ostrożnie, gdyż państwa cywilizowane ścigają bez miłosierdzia trudniących się nim kupców, schwytych na gorącym uczynku karzą natychmiastową śmiercią.

Dla uchronienia się od niej, okręt handlarza który wiozł Samuela, zaopatrzone był w podwójne dno. Nieszczęśliwi murzyni natłoczeni w tej kryjówce oczekiwali śmierci, bo w razie niebezpieczeństwa, otwierano w dnie spodniem ukryty otwór i spychano ofiary do morza, a handlarz ze spokojem czekał rewizji statku, bo wiedział, że ścigający go okręt nie dowiedzie mu winy.

Opatrzność jednak czuwała nad życiem Samuela. W chwili gdy topiono bez miłosierdzia, natłoczone na dnie statku ofiary, zdołał biedny dzieciak ukryć się pomiędzy workami z solą.

Anglicy tymczasem wysiedli na pokład, rozpoczęto poszukiwania, handlarz niewolników tryumfował, kiedy nagle odnaleziono pół żywego Samuela i dowiedziano się od niego o utopieniu kilkudziesięciu murzynów.

Czyn ten nie mógł pozostać bez kary. Powieszono niegodziwego kupca na maszcie, a biednego chłopczykę odwieziono do Anglii. Kształcony w Londynie poświęcił się kapłańskiemu zawodowi, i zostawszy księdzem powrócił do Afryki, aby pracować nad uszlachetnieniem biednych swych współbraci. Odtąd rozpoczęło się dla Samuela życie pełne zasług i trudów.

Zasłynął wprędce cnotami i nauką, niezmierne usługi jakie oddał Kościołowi i cywilizacji wróciły nań uwagę władzy.

Wezwany do Anglii został wyświęcony na biskupa Nigrycyi, gdzie wkrótce powrócił, aby z zapałem pracować dalej.

Pewnego dnia w chwili gdy wykladał ewangelią, wybiegła nagle z słuchającego tłumu kobieta i rzuciła się biskupowi na szyję.

— Synu mój synu! — wołała zalana łzami staruszka, poznaję cię — tyle lat szukany, jest znów on! mój syn! żyje nie zginął — i zemdlona upadła u nóg biskupa.

Była to w istocie matka Samuela, którą miano za umarłą, poznała syna po głosie i znaku jaki miał na ręku, a syn ten otoczył ją odtąd najczulszą opieką, pielęgnując staruszkę we własnym domu. Takie są cudowne dzieje Samuela Adja'i Cowtera, biskupa Nigrycyi, znanego tam pod nazwaniem: czarnego biskupa.

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Wiosny dla Herkulesa).

ze	ży	dy	sa	co
wswem	ma	ka	bo	każ
a	duch	zło	ku	łość
się	kół	ca	Czyń	ży

HOMONIMY.

(Od Farysa dla Alchemika).

Kraj urodzajny, dobrze zaludniony,
W bogate płody on obfituje.
Po obu brzegach Kongo położony,
Na mapie każdej także się znajduje.
Nazwę tę nosi i pieniążek mały,
Mały lecz złoty, więc wartością wielki,
Znany dzieciom co podróże czytały,
Znają go także Anglicy, Angielki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Łamigłówki głoskowej:

J - awa — A - rak — D - ach — W - oda — I - kra —
G - ość — A - mur.

Jadwiga.

Łamigłówki klepsydry:

k o r D u b a
t r O k i
e M s
E
t Y r
m e K k a
r a d O m s k

TREŚĆ: Pastuszek bohater (z drzew.) — Do kukułki, wiersz p. Sewerynę Duchinińską. — List Julka z wystawy paryzkiej. — Bajeczki Mickiewicza, p. Maryą Górecką. — Bocian australski (z drzew.) — Łowiec strusi (z drzew.) — Najnowsza powieść Deotymy Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Spotkanie (z drzew.). — Powiastka konkursowa, wierszem p. Mimosę. — (c. d.). — Księga pamiętnych czynów. — Dzień swobody, powiastka. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów.

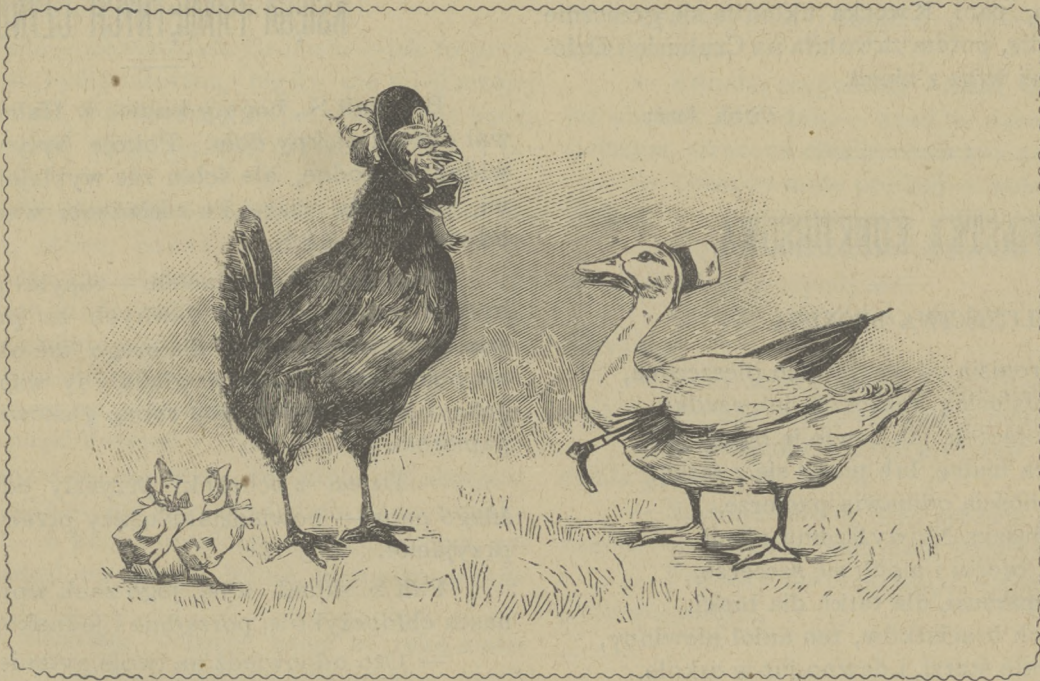
Dodatek książkowy: Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.

SPOTKANIE.

Pani Kwocka, sędziwa i poważna kura, wyszła na przechadzkę z dwiema córeczkami, Czubusią i Dziobusią. Z licznej gromadki ładnych kurcząt te jej tylko pozostały w skutek różnych smutnych wypadków. Pani Kwocka była doświadczoną i troskliwą mateczką, pilnowała dziatwy ze starannością wielką, cóż, kiedy ją różne nieszczęścia prześladowały. Jednego dnia jastrząb porwał w jej oczach dwoje najładniejszych kurcząt raz po raz, a chociaż rzuciła się na ich ratunek, nie do-

Dlatego to biedna mateczka dwie tylko małe córeczki, Czubusię i Dziobusię wyprowadziła na przechadzkę, jak widzicie na rysunku naszym. Chociaż bardzo smutna i zmartwiona, wiedziała zacna pani Kwocka, że obowiązek musi być spełniony i całą miłość swą macierzyńską przelała teraz na te ostatnie swoje dzieci. Żywiła Czubusię i Dziobusię najlepszymi kaskami, otulała skrzydłami w nocy i podczas deszczu, a w pogodne dni wyprowadzała na powietrze, bo to potrzebne jest dla zdrowia kurcząt, tak samo, jak i dla zdrowia dzieci ludzkich.

Spotkała pewnego rana pannę Kaczykiewiczównę



Spotkanie.

łała nadbiedz w porę; drapieżnik z szybkością strzały spadał i unosił się ze swą zdobyczą. Zgryziona pani Kwocka zabrała resztę piskląt i chciała się ukryć z niemi w stodole, gdy nagle nadjechał nieostróżnie wóz, naładowany snopami; nim biedna matka, oszołomiona poprzednim wypadkiem, zdążyła sprowadzić malców z drogi, już koła dwoje z nich przejechały.

Jednego dnia stracić czworo dzieci, to rzecz okropna, biedna pani Kwocka chodziła jak struta, drżała nad pozostałą dziatwą. Lecz nie koniec był jej nieszczęściom, na folwarku dach naprawiano, dachówka spadła niespodzianie i znów jedno kurczątko zginęło przybite tym ciężarem. Nareszcie kuna zakradła się w nocy na folwark, a przydusiwszy łapą śpiącą nieszczęśliwą Kwocką, z pod skrzydeł jej wyciągnęła troje piszczących w niebogłoty kurczaków. Pani Kwocka rozbudzona z bohaterską odwagą skoczyła na kark kunie, lecz na nic się to nie przydało, okrutny zwierz umknął ze swoją zdobyczą.

młoda kaczkę wesołą i gadatliwą. Znały się dobrze, chociaż bliższej przyjaźni pomiędzy niemi nie było. Pani Kwocka niewielką miała ochotę do rozmowy, ale jako dobrze wychowana osoba nie okazywała niezadowolenia i grzecznie pozdrowiła pannę Kaczykiewiczównę, zatrzymując się wraz z córeczkami.

— Mam nadzieję, że dziś już przecież doczekamy się deszczu — rzekła młoda kaczka, która zawczasu zabrała z sobą parasol, idąc na przechadzkę, chociaż ani jednej chmurki nie widać było na niebie.

— Żkądże to panience do głowy przyszło — odrzekła pani Kwocka — taka piękna pogoda, spodziewam się, że potrwa przez dni kilka przynajmniej i dłużej..

— Nie mówże pani tego, moja pani Kwocka — przerwała Kaczykiewiczówna — już mi ta posucha okropnie dokuczyła, deszczyk przydałby się bardzo, a choćby i kilkodniowa ślota. To taka rzecz zdrowa i przyjemna.

— A toż dopiero osobliwsze upodobanie! — nie-

chętnie trochę, pomimo całej swęj grzeczności, odburknęła Kwocka — jak też panienska może mówić, że wilgoć jest zdrowa i przyjemna. Niema to jak ciepło, jasne słoneczko, pogoda; Czusbisia jeszcze się kataru nie pozbyła po ostatniej słońcu, a Dziobusia z przeziębienia na brzuszek zachorowała. Moznaby się teraz bez deszczu obejść choćby i miesiąc.

— Aj! co też pani mówisz, a tożby okropnie było, cały miesiąc bez deszczu. Dobrze przynajmniej, że to od jejmości nie zależy, że wyższa mądrość rozporządza deszczem i pogodą.

— To wielka prawda, moja paniensko — odpowiada łagodnie poczciwa Kwocka — bo i wacpanna także podobno niezbyt mądrzebyś się tem rozporządzała. Zostawmy więc te sprawy Mądrości Najwyższej, ona pewnie to lepiej od nas rozumie i tak potrafi światem rządzić, ażeby wszystkim stworzeniom z tem było dobrze.

I rzekłszy to, pani Kwocka ukloniła się grzecznie Kaczykiewiczównie, potem zawołała na Czusbisę i Dziobusię i poszła dalej wraz z niemi.

Ciocia Jania.

POWIĄSTKA KONKURSOWA.

LITOŚCIWA BRONISIA.

Śliczna mała Bronisia od wszystkich pieszczona,
Była grzeczną dzieciną, rozkoszną jak rzadko,
Prawdziwy aniołeczek, jak zowie ją bona,
Co chwila ściska mamę, lub pieści się z tatką.
A z jaką pobożnością odmawia pacierze,
Jak daninę serduszka Najwyższemu płaci!
Co rano składa rączki i modli się szczerze,
O zdrowie dla mamusi, dla tatki, dla braci.
Bo ma też dwóch braciszków, ten anioł niewinny,
Obadwaj znacznie starsi, i dawno już w szkole,
Teraz właśnie są w domu, bo czas wakacyjny,
Wabią więc ich do siebie, i lasy i pole.
Gdy raz z takiej wycieczki do domu wrócili,
Stefcio spostrzegłszy siostrę, biegł do niej co siły,
„Widzisz żeśmy na darmo czasu nie stracili,
Patrz Broniu jaki ptaszek rozkoszny i miły”.
A w tem z kolei Zygmus, w zaciśniętej dłoni,
Z daleka pokazuje drżącego skowronka;
„To podarek dla ciebie”, i zbliża się do niej,
Wtedy płaczem gwałtownym zaniesie się Bronka.
„O braciszku, jak możesz być złym i okrutnym,
Wszak i biedna ptaszyna wolność swoją ceni,
Za co chciałyś ją karać takim losem smutnym,
Pozbawiając swobody, pól, lasów zieleni!
Pomyśl, gdyby tak ciebie wzięto od mamusi,
I tybyś do niej tęsknił, do nas i do tatki,
A przecież i ten ptaszek rodzinę mieć musi,
Którą tak jak ty kocha, więc puść go do matki!”
I to mówiąc wyciąga do brata rączkę,
Wznosząc ku niemu oczki z błagalnem spojrzeniem,
„O! bądź dobrym braciszku, wypuść tę ptaszynę,
Mięj litość nad maleńkiem bezbronem stworzeniem.”

Tużi Stefusia oczki napełnią się łzami,
I Zygmus jakoś rzewnie na siostrę spogląda,
Tak ją czule kochają, i czują to sami,
Że gotowi są zrobić co tylko zażąda.
Rzeczce więc do niej Zygmus: „Broniu moja droga,
Tyś nam zawsze we wszystkim najlepszym przykładem,

Że nam dał taką siostrę, wielbić musim Boga,
I na drodze cnót wszelkich iść za twoim śladem!”
Tu rękę otworzywszy „Leć więc ptaszku — woła —
Wracaj do twęj rodziny, wleć wolny w przestworze,
Ciesz się, bujaj swobodnie wśród przyjaciół koła,
Wielbiąc hymnem radosnym miłosierdzie Boże!

Mimoza.

KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Bogumił S., bogaty kupiec w Hamburgu, wybudował duży i piękny dom. Pokoje były w nim wysokie, widne, wygodne, ale ścian nie wyklejono wcale obiciami, pozostały szare ku zdziwieniu wszystkich, którzy odwiedzali pana S.

— Kochany przyjacielu — zapytał go jeden z przybyłych do Hamburga dawnych na prowincyi zamieszkałych znajomych — dla czego nie oklejasz mieszkania obiciami? Pokoje wyglądałyby wspanialej gdybyś pokrył je, jak to wszyscy robią, gustownym kolorowym papierem.

— Dzieci z ochronki przyszły odwiedzić wielmożnego pana — powiedział służący przerywając rozmowę przyjaciół.

Pan S. skinął, a na jego znak wprowadzono dwunastu chłopczyków, porządnie i jednakowo odzianych.

— Oto odpowiedź na twoje pytanie — rzekł z uśmiechem dobry kupiec. Zamiast stroić moje pokoje, ubieram te sieroty i stokroć większą sprawia mi to radość.

Zbawiciel, mistrz nasz i Pan rzekł: — Jeżeli zobaczysz nagiego przyodziej go. Staram się tak czynić. O ozdobę moich pokoi upominasz się ty przyjacielu, ale za tymi małymi upomni się kiedyś Ten, który rzekł jeszcze: Byłem nagim a przyodzialiście mnie.

Cóż młodzi czytelnicy, czy pan S. miał słuszność?..

DZIEŃ SWOBODY,

POWIĄSTKA PRZYPISANA MĘJ WNUCZCE,

Geni Chodźkównie.

Dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka biegali po ogrodzie. Chłopczyk miał około lat dziesięciu, śliczne blond włoski i duże niebieskie oczy, dziewczynka o rok starsza, podskakiwała nucąc wesołą piosenkę. Ogród był duży, okazały, zdaleka ukazywał się piękny pałac, drzewami ocieniony, a nieopodal od bawiących się

dzieci, siedziała na ławce ich nauczycielka, panna Aurelia, która zajmując się robótką szydełkową, spoglądała od czasu do czasu na nie.

— Proszę pani — zawołała przybiegając Bronisia — czy możemy wyjść przez furtkę z ogrodu, i pobiegać w pole, nazbierać w zbożu bławatków?

— Nie — odpowiedziała panna Aurelia — naprzód dla tego, żeście się już dosyć nabiegali, a potem że ojciec nie pozwala, aby dla zerwania kilku kwiatków, deptać zboże.

— Pani nam niechce nigdy żadnej przyjemności zrobić — mruzczał Alfredek.

— Nie może być przyjemnością przestąpienie zakazu ojca. Proszę was usiądźcie, odpocznijcie sobie, za kwadrans wrócimy do pokoju, i rozpoczniemy lekcję muzyki.

Dzieci wiedząc że panna Aurelia nigdy słowa nie zmienia, usiadły nieopodal od nauczycielki.

— Mój Boże — powiedziała Bronisia — jak to przykro tak zawsze być posłuszną, nigdy nie mieć swojej woli, wiesz Fredziu, jak dorosnę, łajać nikogo nie będę, bo doprawdy starsi, to tylko, łają, przestrzegają... i zakazują...

— Co to, to prawda — odrzekł Alfredek — nie dość że mama, ojciec, panna Aurelia, zawsze coś do zganienia znajdują, ale nieraz jeszcze nasza gospodyni i stary Stanisław mają coś do powiedzenia. Wczoraj poszedłem do stajni, pogłaskałem gniadosza, zaraz krzyk... a niech panicz go nie rusza, bo kopie... ja nic... głaskałem go mimo to... i widzisz... nie kopnął.

— Nie kopnął? Patrzał!

— Bo wszystkim starszym się zdaje, że dziecko, nawet konia dotknąć nie może, i ledwie że na kucyka wsiąść pozwolą. A kucyk do niczego, ani do kłusa, ani do galopa. Jeździć na dużym koniu, to wielka przyjemność.

— To i ja chciałam wczoraj wziąć na rękę małego pieska naszej Wierniej, a gospodyni w krzyk... niech panienka go nie rusza, bo suczka skoczy i ugryzie, ja mimo to wzięłam pieska a suczka mnie nie ugryzła.

— A widzisz że starsi mają swoje przywidzenia, tylko oni szczęśliwi mogą robić co chcą.

— I jeść wszystko co im się podoba, nikt nie przestrzega że coś zaszkodzić może, albo że pić nie wolno po tłustych potrawach. Jaka mama szczęśliwa że może dysponować śniadaniem, obiadem, taki jak jęć się podoba! Jak ja będę panią domu, dopiero wszystkim dogodzić będę się starała.

— A ja jak będę panem, zobaczysz jak się zabawię. oj, pewnie wtedy grać nie będę się uczył.

Tu westchnął Alfredek, bo muzyka z wielką mu trudnością przychodziła.

— Ale długo, długo czekać do tego czasu — powiedziała Bronisia — a teraz dalej do pokoju, bo panna Aurelia już wstała.

— Nie tak długo jak się wam zdaje — rzekł pan Kaliński wychodząc z altany, w której niepostrzeżony od dzieci, wypoczywał i przez otwarte okno całą słyszał rozmowę — niechcący byłem waszym świadkiem, a ponieważ spostrzegłem, iż oboje macie wielki pociąg do nie-

zależności i swobody, chcę was uszczęśliwić i przez jutrzejszy dzień cały, zupełną wam dać wolność. Bronisia nawet śniadanie i obiad dysponować będzie, naukę do woli waszej zostawiamy i w całym domu, zacząwszy od mamy i odemnie, nikt wam żadnej uwagi nie uczyni.

— Dobry, kochany ojczulku, co za radość! jutro będziemy dorosłymi osobami — wołały dzieci, całując ręce pana Kalińskiego.

— Polegam zupełnie na waszym rozsądku — odpowiedział ojciec poważnie — a nie omieszkam uwiadomić matkę i pannę Aurelię o moim postanowieniu.

Lekcja muzyki, bardzo dobrze powiodła się, naszym małym przyjaciółom, bo ucieszeni nadzieją przyszłej swobody, chcieli pokazać się pilnymi i rozsądnymi.

Po herbacie spać poszli, i zasnęli snem zdrowych, szczęśliwych dzieci. Zwykle budzono ich o godzinie siódmej z rana, ale tym razem pan Kaliński nie kazał im snu przerywać, i dopiero o dziewiątej otworzyli zaspane oczęta.

— Szkoda, zaspaliśmy — rzekł wchodząc do siostry, już ubrany Alfredek — wpół do dziesiątej, a w dniu dzisiejszym, stracone chwile wiele znaczą.

— Czesz-że mnie prędzój — wołała na służącą Bronisia.

— Co panienka każe podać na śniadanie? — zapytała wchodząc gospodyni.

— O! pewnie nie kawę ani herbatę — zawołał Alfredek.

— Naturalnie — powiedziała Bronisia — proszę nam zrobić dwie filiżanki czekolady z biszkopcikami.

— Biszkopcików niema, tylko sucharki — powiedziała gospodyni.

— Sucharki nie są dość słodkie do czekolady, więc zamiast sucharków, poda nam Józefowa pierniki.

— Pierniki? do czekolady? — spytała z niedowierzaniem gospodyni.

(d. c. n.)

SZARADA.

Od Białej Akacyi z Podola dla Gołąbki pocztowej.

*W pierwszej i trzeciej zakonnicy siedzą
Druga z trzecią, to rozkaz papieża, wszyscy o tem wiedzą
Wszystko zaś to jarzyna żydom ulubiona,
Łzy wyciska surowa, je się gdy pieczona.*

cebula

ROZWIĄZANIE DO N-ru 25-go.

Szarady:

Ło — dzie.

Skrzynka do listów.

Gazetę z gór Świątokrzyzkich bardzo chętnie zaliczamy w poczet korespondentek naszych; okolica w której mieszka *Gazeta* doskonale jest nam znana i wyobrażamy sobie jak ślicznie teraz być tam musi.

Wołodjowskiego łamigłówkę umieścimy z czasem, ale czemu mały rycerz tak ceremonialnie list adresuje?

Czyżyk trafnie odgadł rebus **Koleżanka** zadanie konikowe. Szarady zaś **Mamut**, **Rezedka**, **Niezabudka z nad Chomoru** i **Stokrotka z nad Stochodu**.

Czarna Perełka od razu za serce nas schwyciła ślicznym swoim liścikiem. Umiesz być wdzięczną, *Perełko*, a to przymiot, który bardzo cenimy. Szarady i logogryfy przyjmujemy chętnie, ale czekać one muszą kolei, bo zaległych jest bardzo dużo.

Konwalijkę z Jakimowic zapewniamy, że liściki jój zawsze z radością odbierane będą. Kto tak wyraźnie i tak ślicznie, jak *Konwalijska* pisze ten może nie wątpić o dobrym ich przyjęciu. *Gołąbka* za pamięć dziękuje.

Niezapominajka z nad Warty bardzo nas ujęła chęcią poznania osób pracujących w redakcyi. Życzenie *Niezapominajki* może się spełnić, jeżeli kiedy będąc w Warszawie naszą redakcyą odwiedzi. Zarzut zrobiony *Gołąbce*, bardzo ją zabolął, nie zasłużyła ona na niego, chociaż młoda, jest uważna, nie pomieszałaby więc odpowiedzi.

Jedynacze z nad Buga życzymy, aby w podróży jaknajwięcej miłych doznała wrażeń, a prosimy niech wśród gór nie zapomir o nas.

Kujawiak z pod Kruświcy trafne nadesłał odpowiedzi, życzymy mu aby z kwinty jaknajprędzej do kwarty i tercyi się przeniósł. Numera żądane wysłano.

Krynicy i Niebieskiej Wstążeczki przesyłkę otrzymaliśmy.

Stokrotce z nad Stochodu serdecznie dziękujemy za zaufanie z jakim się do nas zwraca. Może też kiedy *Stokroteczko*, zawitasz do Warszawy, wtedy poznamy się bliżej i dowiesz się czego pragniesz. Liściki wydrukujemy, a i łamigłówa pewnie dobra będzie. Żądany numer posłano.

Rusałka bardzo dobrze zrobiła, przewyciężając nieśmiałość i zgłaszając się do nas. Pozyskana jedna więcej korespondentka, to tak jak miła bardzo osoba, przybywająca do naszego rodzinnego kółka. Pisuj więc śmiało *Rusałko*.

Pegaz Skrzydlaty dobrze ułożył szarady, choć trzecia trochę zawiła.

Gospozi z nad Warty wieszujemy, że znalazła sposobność do umysłowej pracy, wiadomość ta sprawiła nam prawdziwą radość.

Dziewanna z pól Mazowieckich i jój siostrzyczka niechże zawsze zachowują dla nas życzliwość, my zaś będziemy się starali dogodzić życzeniu *Dziewanny*.

Złote serduszko witamy z radością, sądzimy, że pokocha nas ono, a wtedy nie będzie ociążać się z liścikami.

Droga Halko z Litwy! Przepraszam cię serdecznie, że ci tak późno odpisuję. Bardzo mi będzie przyjemnie, jeżeli mi doniesiesz co o sobie. Ja mam lat 13, noszę imię królowej kwiatów. Mam pięć siostrzyczek i babunię; rodziców nie mam już oddawna. Mieszkam w Warszawie, chodzę do gimnazjum. Jeżeli masz także egzamina, to życzy ci powodzenia z całego serca i ścisła serdecznie nieznaną: *Dziewanna z pól mazowieckich*.

Droga Jesieni! Dziękuję ci bardzo za list, był to pierwszy, który przez *Wiecz. Rodz.* odebrałam. Wcale nie jestem jasną blondynką, dla tego też pseudonym zmieniam. Donieś mi gdzie mieszkasz? Może nas losy zbliżą kiedy. Przyjmij serdeczne uściśnienia od *Kwiatka polnego*.

Droga Gospoziu z nad Warty! Chciałabym bardzo zapoznać się z tobą. Napisz mi co o sobie; ja mam lat 13, na imię mi Marya. Czyś dla tego obrała taki pseudonym, że lubisz gospodarstwo? Ja także lubię je bardzo. Całuję cię, twoja *Mandarynka*.

Kochany Podlasiaku. Czy dawno pisujesz do „*Wieczorów Rodziny*”, bo ja niedawno. Ile masz lat? Czy chodzisz do szkół? Czy masz rodzeństwo? Ja mam trzy siostry. *Wieśniak podlaski*.

Drogi Wejdawutasio! Zdaje mi się, że nazwisko twoje zaczyna się na Ad. Co znaczy, że się nam teraz udzielasz tak mało?

Donieś mi co porabiasz i co znaczy twój pseudonym. *Pegaz skrzydlaty*.

Kochana Mimoso! Dziękuję bardzo za liścik i przepraszam, że tak długo czekałaś na odpowiedź, nie moja w tem wina; po przeczytaniu twój odezwy, natychmiast napisałam list do ciebie i wysłałam go do redakcyi „*Wiecz. Rodz.*”, ale prawdopodobnie zaginął, na pocztce bo dotychczas nie był drukowany. Serdecznie się cieszę, że zamieszkas w Kaliszu, i że poznam się z tobą. Donoszę ci że mam 11 lat, na imię mi Marya. Ścisła cię *Gałązka Heliotropu*.

Lube moje: *Niezabudko z nad Chomoru*, *Halko z Litwy*, *Maryno z pod Garwolina* i *Chmurko Złocista!* O jakbym pragnęła, każdej z was osobno, coś pięknego na tem miejscu powiedzieć! Ale te nasze „*Wieczory*” obchodzą się z nami jak wście, bez litości. „*Jeden tylko, jedyny liścik na raz*”, mówią, i to niedługi i basta. A więc rada nie rada muszę was wszystkie w jednym, serdecznym uścisku połączyć, podziękować za przyjazną dla mnie pamięć i prosić o dalszą! Twój liścik, luba *Maryno*, zawitał do mnie właśnie w dniu moich urodzin, pomyśl więc sobie co za miłe wiązanie! Skończyłam lat dziewięć, więc gdyś opuszczała Londyn, zostawiłaś mnie tam dwuletnią dziewczynką. Ty *Chmurko Złocista*, nosisz jak widzę, to samo przesłiczne imię co ja, z czego jednak nie wypływa, abyś i ty była... „*Brzydotką*”. Zaś tobie *Halko z Litwy*, odpowiem, że mi się tutaj dość podoba. *Brzydotka z nad Tamzy*.

Kochany Pegazie! Cóż teraz u ciebie słychać nowego, często chodzisz do kąpeli? Posyłam ci szaradę, może ją ujrzysz w „*Wieczorach*”. Proszę cię napisz co dla mnie. Czekam odpowiedzi, twój *Kameleon*.

Kochane: *Palanko*, *Dębinko*, *Łątko* i *Bzu gałązko*. Pomyśl podany przez was o umieszczeniu pamiątkowej tablicy dla „*Kochanej pani*”; w jednym z warszawskich kościołów bardzo mi się podobał, przyczyniam się więc do jego wykonania. Wasza nieznaną przyjaciółka *Niebieska Wstążeczka*.

Kochana Gospoziu z nad Warty. Pragnę bardzo do ciebie pisywać. Zapewne lubisz gospodarstwo, kiedy wybrałaś sobie taki pseudonym, jeżeli tak, to mamy jednakowe upodobanie bo i ja bardzo je lubię. Donieś mi ile masz lat, gdzie mieszkasz i czy jesteś na pensyi? Ja mam lat 14, na imię mi *Janinka* i mieszkam na wsi. Przyjmij serdeczne uściśnienia od twojej *Konwalijski z Jakimowic*.

Kochane moje: *Polanko*, *Dębinko*, *Łątko* i *Bzu gałązko!* Na projekt przez was podany w N-rze 18 „*Wiecz. Rodz.*” zgadzam się, bo myśl uczczenia pamięci naszej nieodżałowanej *Kochanej pani*, miałam i ja zaraz po jój śmierci, lecz wy mię uprzedziłyście w podzieleniu się tą myślą z czytelniczkami „*Wiecz. Rodz.*”. Życzliwa *Stokrotka z nad Stochodu*.

Miła Westalko! Święta przeszły mi dość wesoło. Bardzo ubolewam nad chorobą twego kucyka, a może on już zdrow? *Droga Śnieżyc* jestem staruszką, piszę więc do ciebie, prosząc byś co więcej doniosła o sobie. *Kochana Niezabudko* za łamigłówkę dziękuję serdecznie, w zamian posyłam ci moją. *Jaskółeczko* opis wystawę *Paryzką*. *Luba Różyczko* biała donieś mi co więcej o sobie. *Radziwianki* zapytuję co teraz porabia? Całuję: *Gospozię z nad Warty*, *Ukrainkę na Mazowszu* i *Jesień*. *Stokrotka z nad Stochodu*.

Droga Lipo z Pawłówka! Dziękuję ci moja złota za liścik twój do mnie. Imienia twego zgadnąć nie mogłam; ale jeżeli się nie myłę to mieszkasz pod Kaliszem? Mnie na imię *Marysia*, mam lat 14, a czy jestem taką za jaką ty mnie uważasz? Nie wiem jak odpisać, gdyż „*kto się sam chwali...*” znasz zapewno to przysłowie? Może się kiedy poznamy, *Ścisła cię niezliczone razy* i prosi o odpowiedź, *Gospościa z nad Warty*

Kochana Gwiazdko z Podola! Znam cię dobrze, nazywasz się *Marynia S.* masz dwóch starszych braci *Jerzego* i *Maksia*, znasz dobrze moją siostrzyczkę i zaprzyjaźniłaś się z nią. *Ścisła cię twoja Rusałka*.